

Mariola Wójtowicz

Emerytka w podróży

Wstęp

Był rok 1974, kiedy w jakimś czasopiśmie wpadło mi w oko zdjęcie opery w Sydney. Teraz wiem, że było to kilka miesięcy po wybudowaniu i oddaniu opery do użytku. Trochę później kolejne zdjęcie: wielki czerwony monolit w środku pustynnego wnętrza Australii – Uluru.

Jeszcze później zaczęły do mnie docierać wiadomości o rytach na skałach. Park Narodowy Kakadu. Zobaczyć to kiedyś...

Mijały lata. Z wypiekami na twarzy czytałam relacje tych, którzy już tam byli. Pochłaniałam książki australijskiej powieściopisarki Patrycji Show opisujące Australię drugiej połowy XIX wieku. Bolałam nad losem Molly Craig wracającej do domu po ucieczce z sierocińca prowadzonego przez białych, wzdłuż najdłuższego w świecie płotu. Współczułam całym straconym pokoleniom – kilku generacjom rdzennych mieszkańców kontynentu poddanych przymusowej asymilacji.

Zachwycalam się kropkowym malarstwem Aborygenów, nie zdając sobie sprawy, że jakkolwiek wywodzi się z prastarych tradycji ludów tej ziemi, to jego historia, w formie, jaką znamy, zaczęła się zaledwie kilkadziesiąt lat wcześniej – w roku, w którym zostałam studentką!

W końcu nadchodzi upragniony dzień, możliwy dzięki osiągnięciu statusu emerytki. Jakkolwiek jeszcze pracuję, mam już na tyle czasu, że mogę wyjechać na dłużej niż dwa tygodnie. Włączam wizytę w Australii do programu podróży dookoła świata. Moja podróż będzie trwała sto dni, podróż po Australii czterdzieści pięć dni.

(...)

23 czerwca – 2 lipca, poniedziałek – środa następnego tygodnia

No i doczekałam się. Przede mną *clou programu* – dziesięciodniowa wyprawa do Outbacku, rozległego, odległego od wszelkich siedzib ludzkich, suchego i jałowego wnętrza Australii.

Godzina szósta rano. Jestem pierwszym uczestnikiem, którego zabiera do samochodu Jarrod, kierowca i przewodnik wyprawy. Krążymy po mieście, zbierając kolejnych

uczestników eskapady, w której oprócz mnie udział biorą: Amerykanka Emily, Szwedka Asa, Nowozelandka Lisa, Niemka Sabine, Estonki Aire i Liana i jedyny w całym gronie uczestników mężczyzna, Amerykanin Rick. Nawet mnie to nie dziwi, nie zdarzyło mi się, aby w jakiegokolwiek wyjazdowej imprezie mężczyźni stanowili większość, czy nawet połowę uczestników. Na koniec docieramy do biura organizatora na przedmieściach Adelajdy, gdzie wypijamy ostatnią w cywilizowanych warunkach kawę, wypożyczamy dodatkowe śpiwory i podpisujemy oświadczenia, że jedziemy na własną odpowiedzialność. Zaczyna być groźnie.

Przed nami około 3500 kilometrów bezdroży. Jedziemy samochodem z napędem na cztery koła, za którym ciągnięta jest przyczepa z naszymi bagażami, „garkuchnią” i wszystkim, co może być potrzebne w trakcie wyprawy. Jarrod, obok „bycia” kierowcą i przewodnikiem, jest również kucharzem. Pomagają wolontariusze, ja spełniam się, zmywając naczynia po posiłkach – co nie jest takie łatwe, biorąc pod uwagę ograniczoną zazwyczaj ilość wody!

„Garkuchnia” jest doskonale wyposażona i dostosowana do gotowania na ognisku. Czyż kiedykolwiek przypuszczałam, że mając do dyspozycji tylko ognisko, będę jadła tosty? Nie, bo nie wiedziałam, że do przygotowania grzanek w takich warunkach służą specjalne tostery na długiej ręczce. Przykłady kulinarnej pomysłowości w zakresie przygotowania potraw w warunkach polowych można by mnożyć. Inwencja Jarroda, a pewnie i doświadczenie, nie ma granic – w ciągu tych dziesięciu dni wyprawy menu ani raz się nie powtórzyło. Wszystkie zapasy wieziemy ze sobą, te szybciej psujące się w pojemniku-lodówce wypełnionej lodem. Kiedy zatrzymujemy się w większych miejscowościach, czy raczej osadach, uzupełniamy zapasy chleba, lodu, wody i paliwa. I zostawiamy wszystkie śmieci, które produkujemy i z każdego miejsca zabieramy ze sobą. Codziennie też, w miejscach znanych kierowcy, zbieramy drewno na ognisko, gdyż nie zawsze jest możliwe jego znalezienie w miejscu przeznaczonym na camping.

No właśnie, campingi. Miejsca, w których się zatrzymujemy, niewiele mają wspólnego z tym, co rozumiemy przez pojęcie campingu w naszym, europejskim znaczeniu. Tylko ślad po ognisku świadczy, że ktoś tu kiedyś był. A, i kiedy Jarrod zostawia należność w ustawionej w szczerym polu skrzynce, znaczy to, że korzystamy z usług zinstytucjonalizowanego miejsca noclegowego.

Kiedy zatrzymujemy się na pierwszy nocleg, rozglądając się dookoła, uświadamiam sobie, że właściwie wcześniej nie zastanawiałam się, jak będą wyglądały nasze noce. Wiedziałam, że będziemy spać w *swegach* – takim „skrzyżowaniu” małego namiotu ze śpiworem. Wiedziałam, że mój cienki śpiwór nie będzie wystarczający, ale fakt, że nie będzie sanitariatów jakoś do mnie nie dotarł. Chociaż czy rzeczywiście? W końcu (podświadomie?)

zaopatrzyłam się we wszystkie możliwe rodzaje chusteczek higienicznych. Mniej więcej co drugą noc zatrzymujemy się na cywilizowanym polu campingowym z sanitariatami, ale jest tak zimno, że nikt nie ma odwagi wejść pod prysznic, pozostaje zatem mycie się metodą kota. Pierwszy solidny prysznic mamy dopiero w Coober Pedy – w samo południe, w publicznej łaźni przeznaczonej dla takich jak my łązęgów.

Nie czas na myślenie. Rozpalamy ognisko, przygotowujemy kolację, rozkładamy swęgi dookoła ognia. Robi się coraz chłodniej, noc nie zapowiada się ciekawie. Każdy ubiera się w co ma najcieplejszego. Ubieramy czapki, rękawiczki, podwójne skarpety i „pakujemy się” do naszych swęgów. Jest to bardzo wyczerpujące zadanie. Zanim się ułożymy, wszystkie warstwy odzieży (w moim przypadku sześć: podkoszulka z krótkim rękawem, dwie z długim, bluza, polar, kurtka, dodatkowo podwójne spodnie) są zrolowane pod pachami. Ich obciążanie w podwójnym śpiworze, potem zamykanie śpiworów, zamykanie swęga, to prawdziwa ekwilibrystyka. A w końcu i tak okazuje się, że te wielokrotne warstwy ubrań nie na wiele się zdały. Kiedy budzimy się rano, po raz kolejny, bo wiadomo, zimno budzi nas wielokrotnie w ciągu nocy, nasze swęgi pokryte są szronem!

